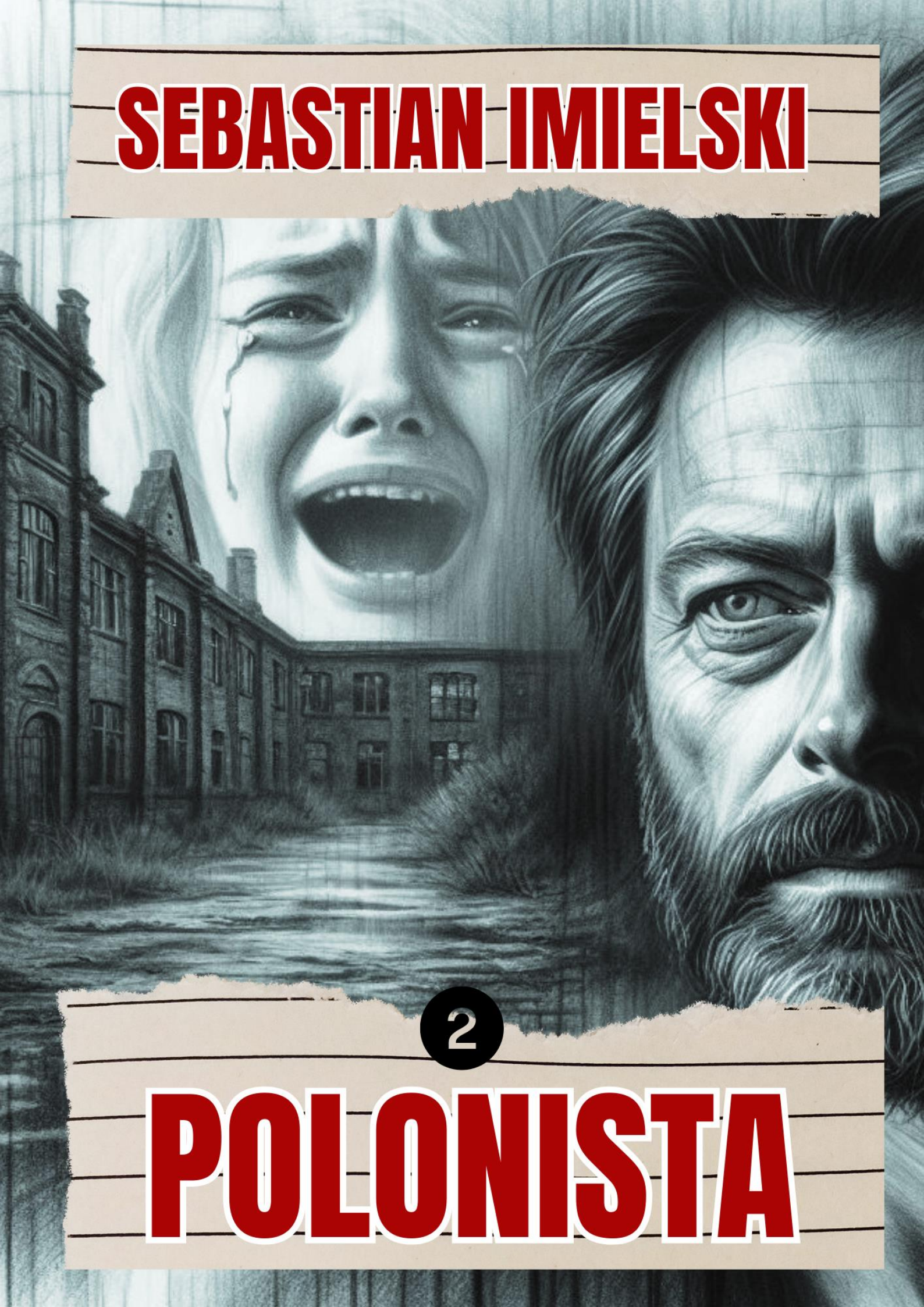


The poster features a composite image. In the background, a dark, atmospheric street scene with old European-style buildings leads into the distance. Overlaid on this is a large, close-up face of a woman with her mouth open in a scream or cry, with tears visible. To the right, a large, detailed face of a man with a beard and intense gaze is shown. The top and bottom of the poster have a torn paper effect with horizontal lines.

SEBASTIAN IMIELSKI

2

POLONISTA

Sebastian Imielski

Polonista

Akt 2

Książkę dedykuję rodzicom.

SEBASTIAN IMIELSKI
POLONISTA
Akt 2

Wydawca: Chemia mózgu
Copyright © Sebastian Imielski 2025
Okładka Copyright © Sebastian Imielski 2025



Redakcja: Joanna Łukowska
Korekta: Maciej Śłużyński
Redakcja techniczna RW2010
e-wydanie I

ISBN 978-83-974866-1-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Część VI Papież

Rozdział 1

Wjeżdżaliśmy we wrota piekieł, choć skręcając z autostrady A1 w kierunku Kwidzyna, jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Natura od kilkunastu minut nadawała sygnały ostrzegawcze, rozlewając gęstniejące opary mgły wzdłuż dróg powiatowych i gminnych, my jednak, gnani chęcią rozwikłania tajemnicy, pchaliśmy się tam, gdzie zło czuło się bezkarnym gospodarzem. Przed samym Suszowem mleczna zapała była na tyle szczelna, że dla bezpieczeństwa zjechaliśmy na najbliższą stację benzynową.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem. – Karol mrużył oczy, próbując nie wjechać w żadną przeszkodę.

Wobec białej ściany nieskuteczne okazały się nawet światła przeciwmgielne w terenowym suzuki. Na szczęście udało nam się odnaleźć parking.

– Normalnie jestem cały mokry. – Zawada bezpiecznie zaparkował i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. – Nie ruszę się stąd, dopóki to dziadostwo nie zniknie. Idziemy na kawę? Może coś zjemy?

Mijała dziesiąta, gdy pracownica stacji podała nam dwie kawy i kanapki. Pobyt w Suszowie został szczegółowo zaplanowany. Początkowo na trzy dni, ale z możliwością przedłużenia meldunku w hoteliku umiejscowionym niedaleko centrum miasteczka.

Weronika z trudem maskowała wściekłość na wieść o tym wypadzie. Nie zamierzałem kręcić ani niczego ukrywać i z wyprzedzeniem ją o wszystkim poinformowałem. W zamian usłyszałem znaną sentencję o samolubnym zachowaniu i nieodpowiedzialności. Pierwszy raz w jej tyradzie pojawił się też nowy aspekt.

– Twoje harce mogą mnie pograżyć. – Nie rozumiałem, w jaki sposób, więc szczegółowo mi to wytłumaczyła. – Agencja stara się o duże zlecenie z ministerstwa zdrowia. Chodzi o kampanię społeczną namawiającą do bezpłatnych badań. Wielki kontrakt za dużą kasę. Szefostwo wykorzystuje swoje koneksje, by wkręcić się w ten projekt, ale konkurencja jest spora. Każdy kogoś zna, kogoś popiera, a w samym ministerstwie są grupy wpływów i przepychanki.

– Rozumiem, że klasyczny konkurs nie wchodzi w grę?

– Przestań. Z tego, co wiem, jesteśmy blisko i mam szansę brać w tym udział, ale jeśli okaże się, że mój facet kopie dołki pod prokuraturą, to inni taki fakt wykorzystają przeciw nam. I to jeszcze z Zawadą! Ta jego gazeta działa na szczytach z ministerstwa jak płachta na byka. Teraz decydować będą podobne detale.

Przerwałem tę rozmowę, nie chcąc wchodzić w szczegóły pokrętnego szantażu. Obiecałem być ostrożny, co oczywiście niczego nie załatwiało. Przeświadczenie, że dla zdobycia rządowego kontraktu trzeba spolegliwie udawać „swojego” i w walce z innymi „swoimi” licytować się na haki, napawało mnie obrzydzeniem. Ambicje Weroniki zderzały się z moim poczuciem przyzwoitości. Gdzie jej zapewnienia o konieczności ratowania rodziny Zagajewiczów? Zmieniły się w mętne, zniekształcone echo. Osiwiałaby na wieść o tym, co działo się w szkole.

Pochłonęliśmy kanapki, zapijając je kawą. Po niecałej godzinie mgła przerzedziła się na tyle, by ukazać naszym oczom strzelistą, kościelną wieżę. Minęła jedenasta.

– Idę się wysikać i spadamy.

Po namyśle ruszyłem śladem Karola. Przed odjazdem kupiliśmy jeszcze po półlitrowej butelce wody. I wtedy przebiegł mnie dreszcz. Normalnie mną wstrząsnęło. Zaniepokojony zatrzymałem się przy regale ze słodyczami. Karol szedł do samochodu. Przez chwilę przyglądałem się ludziom znajdującym się na terenie stacji, z niektórymi wymieniłem spojrzenia. Po raz pierwszy naszło mnie przekonanie, że mają nas za intruzów.

x

Suszowo to dziesięcioletnie miasteczko wciśnięte w okolony lasami wąwóz wyłobiony przed milionami lat przez stopy lodowcowe, a obecnie leżący na granicy województw pomorskiego i warmińsko-mazurskiego. Administracyjnie miejscowość przynależy do powiatu iławskiego i słynie z Fabryki Wyrobów Cukierniczo-Piekarniczych „Rodzina Adamiec” oraz klubu piłkarskiego KP Suszowo, który przed dwoma laty sensacyjnie zasilił zaplecze ekstraklasy. W amfiteatrze usytuowanym nad malowniczym Jeziolem Suszowskim każdego lata odbywają się koncerty gwiazd polskiej sceny rozrywkowej, a na krętych, leśnych drogach w drugiej połowie sierpnia organizowany jest rajd samochodowy, stanowiący nie lada atrakcję dla całego powiatu. Za perełkę miasteczka uznawany jest rynek w centrum, z urokliwym parkiem i odrestaurowanymi kamienicami, w których na najniższych kondygnacjach znajdują się sklepy, kawiarnie i restauracje z lokalnymi wyrobami. Miejsce to wzbudza zachwyty turystów i urbanistów z całej Polski. Uznanie przekłada się na liczne nagrody i ogólnopolski splendor. Za architekta sukcesu miasteczka, o którym jeszcze kilkanaście lat temu niewielu mogłoby cokolwiek konkretnego powiedzieć, uznaje się Adama Miotkę, od czterech kadencji burmistrza Suszowa. Jego talent organizacyjny i etos samorządowca sprawiły, że Suszowo stało się atrakcyjnym miejscem do życia, inwestowania i zwiedzania. Dzięki temu to jedna z najbogatszych gmin w województwie.

Tyle informacje ze strony internetowej Urzędu Gminy w Suszowie. Lokalne władze stworzyły dla siebie laurkę, co akurat nie było specjalnym ewenementem. Często takie przechwałki boleśnie zderzały się z rzeczywistością. Odłożyłem telefon. Po minięciu tablicy z nazwą miasta, na najbliższym skrzyżowaniu skręciliśmy w lewo, zmierzając ku Osiedlu Bociania Łąka. Właściwie osiedle dopiero powstawało, jechaliśmy więc na budowę. Nawigacja informowała, iż do osiągnięcia celu zostało nam siedemset metrów.

– Ja będę z nim gadał. – Karol powtórzył wcześniejsze ustalenia. – Kojarzy mnie i jest szansa, że się otworzy.

Ta rozmowa od początku miała stanowić jego działkę. Odnalazł go i się z nim umówił. Nie zamierzałem się wcinać.

Zawada zatrzymał samochód na prowizorycznym parkingu, nieopodal drewnianej bramy obleczonej drucianą siatką, która wraz z wysokim płotem odgradzała teren inwestycji od postronnych. Spoza płotu wychylało się kilka trzykondygnacyjnych kłoców w różnym stopniu zaawansowania budowy. Architektura Bocianie Łąki nie powalała, jednak nie ona miała przyciągać klientów. Główną atrakcję stanowiło pobliskie jezioro. Był styczeń, więc brzeg wraz z pomostem i niewielką mariną nie epatowały urokiem, ale latem, gdy roślinność bujnie pokoloruje krajobraz, a słoneczne promienie rozpoczną radosne tańce na tafli jeziora, obcowanie z tym miejscem może okazać się nie lada atrakcją. Zwłaszcza że najwyraźniej pomost i marina miały zasilić przestrzeń przeznaczoną tylko dla mieszkańców osiedla. Z lewej strony bramy widniała ogromna tablica przedstawiająca wizualizację terenu po zakończeniu inwestycji. Na środku był napis: „Apartamenty z widokiem na jezioro” i numer telefonu biura sprzedaży. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mógłbym mieszkać w podobnym miejscu. Uciec z miasta i się zaszyć. Tylko co bym tu robił?

– To chyba on. – Karol przerwał moje rozmyślenia, wskazując zbliżającego się do bramy mężczyznę.

Zgodnie z umówionym trybem, po przyjeździe na miejsce wysłał do niego esemesa. Facet miał około czterdziestu lat. Szedł w niebieskim, roboczym kombinezonie, w ręku trzymał kask. Przerzedzoną, siwiejącą czuprynę mierzwił chłodny wiatr. Nie przeszedł przez bramę, tylko przez pobliską furtkę, która skrzypnęła, gdy ją otworzył.

– Karol Zawada – rzekł mój przyjaciel, wyciągając do mężczyzny dłoń.

– Wiem – odparł tamten. – Inaczej byśmy nie rozmawiali.

Wtedy spojrzał na mnie. Dziennikarz uprzedził pytanie:

– Sylwester Cichy, razem działamy.

Mężczyzna przypatrywał mi się przez kilka sekund, po czym kiwnął głową.

– No dobra. – Na jego twarzy malowała się rozterka. Jak blizna, choć niegorejąca rana. Kiedyś się bał, teraz był zdecydowany. – No dobra – powtórzył. – O osiemnastej w Karczmie u Ziellarzy w Sujkowie. To dziesięć kilometrów stąd. Blisko, ale wystarczająco daleko. Mam tu jeszcze robotę do dokończenia. Ale będę. Na pewno.

Rozdział 2

Karczma pachniała drewnem i ziołami. Właściciele dbali o to, by nazwa nie stanowiła jedynie reklamowej sztuczki z folderu. Para zajmująca stolik obok naszego zjadała aromatycznego pstrąga, inna siedząca nieco dalej równie apetyczne placki po cygańsku. Niemniej wspólnie wyczerpywaliśmy listę gości. Pomimo niewątpliwego kunsztu kucharza lokal był niemal pusty. Przypuszczalnie efekt martwego sezonu potrwa przynajmniej do majówki. Potem do końca września będą musieli zarobić na pozostałą część roku. Nie miałem wątpliwości, że w wakacje kelnerzy nie nadążają z przyjmowaniem zamówień. Być może coś więcej dzieje się tu w święta. Pewnie organizują też imprezy okolicznościowe.

Przybyliśmy tam o wpół do szóstej. Nie zamawialiśmy jedzenia. Byliśmy po obiedzie zjedzonym w restauracyjce przy naszym hoteliku. W karczmie poprosiliśmy o dwie kawy z ekspresu. Zawada nie odzywał się. Patrzył w okno, za którym od kilkunastu minut padał śnieg. Raczej nie podziwiał krajobrazów, a układał w głowie przebieg rozmowy.

Szymon Żuraw przyszedł o czasie. Gdy nas dostrzegł, nie podszedł do stolika, a wskazał inny, po przeciwnej stronie sali, gdzie dla miłośników pstrągów i placków cygańskich bylibyśmy niewidoczni. Przesiedliśmy się zgodnie z jego sugestią.

– Przepraszam, że czekaliście – powiedział, witając się z nami uściskiem dłoni. – Na budowie jest mnóstwo roboty, a inwestor ciśnie. Chcą przed wakacjami oddawać pierwsze lokale.

Usiedliśmy. Kelnerka przyniosła karty z menu, ale nikt z nas nie miał ochoty na posiłek. Żuraw zamówił kawę, a my po wyciskanym soku pomarańczowym. Potem zwrócił się do nas, tłumacząc konieczność spotkania przed bramą budowy.

– Musiałem zweryfikować, czy jest pan tym, za kogo się podaje – mówił do Zawady. – Dziś łatwo się pod kogoś podszyc. Śledzę wasze podcasty na YouTube i stronie „Tego Kraju”. Najlepszy jest ten o nierozwiązanych sprawach sprzed lat. Dla mnie to co czwartek stały punkt programu. Stąd wiem, jak pan wygląda na żywo.

– Karol – wtrącił Zawada. – Mówmy sobie po imieniu.

– Szymon. – Mężczyzna podał rękę i mnie.

– Sylwester – odwdzieczyłem się.

Kelnerka przyniosła napoje i rozdzieliła je pomiędzy nas. Dostrzegłem, że zmiana stolika zmąciła nieco jej spokój. Nie wiem, czy Żuraw swoim ruchem nie osiągnął odwrotnego efektu od zamierzonego. Gdybyśmy siedzieli tam, gdzie wcześniej, i zamówili po porcji ryby, za godzinę nikt by o nas nie pamiętał. Faceci zmieniający miejsca, chowający się w kącie pomieszczenia i zamawiający tylko napoje, na pewno odcisną się w pamięci dziewczyny. Gdy na nią spojrzałem,

dostrzegłem w jej wzroku to samo, co u niektórych ludzi na stacji benzynowej. Błysk podejrzliwości, ostrożności i strachu. Dlatego ta cała konspiracja?

– Nie chciałem się spotykać w Suszowie, bo tam wszyscy wszystkich znają – rzekł, odpowiadając na moje niewyrażone wątpliwości. – Może to paranoja, ale mam wrażenie, że mają mnie cały czas na oku. Pokazując się w towarzystwie znanego dziennikarza, od razu wzbudziłbym zainteresowanie. I niezdrowe emocje.

– Czyje? – zapytał Zawada.

– Ludzi Miotke – odparł natychmiast. – To mafia, która rządzi miastem i kontroluje wszystko. Mają wtyki we władzach powiatu, województwa i kraju. Tu nic, absolutnie nic, nie dzieje się bez wiedzy Miotke. To, że pracuję na tej budowie, zawdzięczam wyłącznie temu, że firmie dramatycznie brakuje rąk do pracy, a elektryk z papierami jest na wagę złota. Miastu bardzo zależy na tej inwestycji.

– Inaczej miałbyś kłopoty?

– Kłopoty? – Szymon Żuraw parsknął śmiechem. – Nie miałbym szans na jakąkolwiek robotę w regionie. Moja siostra musiała wyjechać za granicę.

– Przez to, co pisałeś o burmistrzu?

– To niebezpieczni i mściwi ludzie. Niszczą każdego, kto im zagraża. Przez lata stworzyli fasadę sukcesu, ale pod spodem śmierdzi gnój. Przede wszystkim korupcja i lewe układy. Ale nade wszystko boją się grzebania w przeszłości. To śmiertelne zagrożenie dla całej tej bandy.

– Przez ośrodek dla trudnej młodzieży?

Żuraw nabrał powietrza w płuca, jakby szykował się do długotrwałego zanurzenia. Przez kilka sekund wypuszczał je powoli. Wyglądało to jak próba przywrócenia wewnętrznego spokoju.

– To puszka Pandory – mówił powoli. – Działy się tam rzeczy niestworzone, ale do dziś wszyscy, którzy mogliby opowiedzieć prawdę, milczą. Zastraszeni, zgnojeni, skompromitowani. Niektórzy nie żyją, a okoliczności tych śmierci nie są jasne.

– Jednak zdecydowałeś się z nami porozmawiać.

Mężczyzna upił łyk kawy. Na jego czole perlił się pot, choć temperatura w pomieszczeniu nie przekraczała dwudziestu stopni. Karcznię zasilili nowi goście. W tle cicho leciała muzyka zespołu folklorystycznego. Wiązanka ziół zawieszona tuż nad nami pod drewnianym stropem wydawała niesamowity aromat. Ale chyba tylko ja go wyczuwałem. Nasz rozmówca taplał się w brudnych wspomnieniach.

– Bo nie mam nic do stracenia – rzekł. – Gównu mi mogą zrobić. Rodzice nie żyją, a tylko oni mnie tu trzymali. Nie ożeniłem się, nie mam dzieci. Kończę kontrakt z deweloperem i wyjeżdżam do Norwegii, do siostry. Robota już czeka. Kiedy się ze mną skontaktowałeś, byłem zszokowany, ale się

ucieszyłem. Nie znam nikogo innego, kto miałby na tyle samozaparcia, by ujawnić panującą tu zgniliznę. Pomogę wam, przekażę to, co zebrałem, i na miłość boską zróbcie coś z tym. To nienormalne, by w środku cywilizowanej Europy grupa osób zorganizowała sobie praktycznie eksterytorialną, prywatną krainę bezprawia.

Obserwowałem Zawadę. Buzował. Miał przed sobą temat gigant, przy którym potyczki w Sławinie sprzed kilku lat stanowiły delikatne pieszczoty. W nomenklaturze piłkarskiej otrzymał idealne podanie przed pole karne, co zaowocowało nagłym zastrzykiem adrenaliny. Jeszcze tylko dwa, trzy dryblingi i droga do bramki stanie otworem. Ale euforia nie mogła przysłonić jasności widzenia. Najlepsi zawodnicy nie poddają się nadmiernej ekscytacji i w takiej sytuacji potrafią zachować zimną krew. A Karol należał do elity.

– Zacznijmy od początku – rzekł. – Opowiedz o tym, jak wpadłeś na trop nieprawidłowości w ośrodku.

– Nie mówmy o nieprawidłowościach – skontrował Żuraw. – To była najzwyczajniejsza katownia.

Rozdział 3

Dopiero po kilkunastu minutach rozmowy z Szymonem zdałem sobie sprawę, że dostrzeżona na parkingu siwizna przyprószająca jego włosy musiała być pyłem. Może cementem lub efektem szlifowania ścian i brudem w jednym. Siedząc przed nami, prezentował czarną czuprynę z jednym, wąskim siwym paskiem nad lewym uchem. W jego oczach tliło się zmęczenie i nadzieja. Uważał swoje życie za zmarnowane. Czegoś chciał, do czegoś dążył, miał pasje, marzenia i osiągnięcia. Ale zderzył się ze ścianą niemocy. Z ludźmi, którzy rządzą z bunkra i nie boją się zwyczajnych ataków. Dysponują skuteczną artylerią i są w stanie przeprowadzić zmasowany kontratak. Nie do końca uległ tej brutalnej presji, czego dowodem była ta spowiedź.

– Zaczęło się w dwa tysiące pierwszym w ilawa.info i „Nasza Warmia” – mówił, rozpierając się na drewnianej ławie. – Pierwsze to strona internetowa, drugie lokalny dziennik. Właścicielem był Krystian Sagan. Prowadził ten medialny interes od kilku lat i zdołał przebić się nim do świadomości mieszkańców. Z gazetą oczywiście, bo internetowe wydania stanowiły wtedy fanaberię. Zwłaszcza na prowincji. Dostępność sieci była tu niewielka, sam miałem jedynie rwący się internet radiowy. Marzyłem o dziennikarstwie, a tak się złożyło, że Sagan prowadził warsztaty w Iławskim Domu Kultury w czasie, gdy ja chodziłem do technikum. Sagan miał doświadczenie, bo pracował w ogólnopolskich redakcjach, w tym w Telewizji Polskiej, a także w lokalnych wydaniach dużych tytułów. Nie został gwiazdą, ale miał warsztat. I potrafił się nim dzielić. Rodzice wiedzieli o moich zainteresowaniach i nie rzucali mi kłód pod nogi, ojciec jednak naciskał, bym zdobył zawód, dzięki któremu zawsze zarobię na życie. Miał staruszek rację. Skończyłem Technikum Elektryczne, a potem zrobiłem kilka dodatkowych kursów. Ojciec też działał w zawodzie, miał własną firmę, więc u niego dorabiałem i tak naprawdę uczyłem się fachu. Ale cały czas marzyło mi się dziennikarstwo. Poszedłem więc na zaoczne studia na Uniwersytecie Warmińskim. Tyle że weź zostań dziennikarzem na takim zadupiu. Kariera musiałaby się wiązać z wyjazdem, a akurat mama zaczęła mocno chorować. Miała przewlekłą niewydolność nerek i wymagała stałej opieki, w tym dializ. Marta, moja starsza siostra, ta, co wyjechała do Norwegii, studiowała wtedy medycynę w Warszawie. Była na ostatnim roku, nie mogła rzucić nauki. Zostałem więc w Suszowie, studiowałem, pracowałem z ojcem, ale spróbowałem odnowić znajomość z Saganem, bo w czasie kursów przeprowadziliśmy wiele ciekawych dyskusji. Na odchodne po warsztatach powiedział, że jak będę chciał, to wyczaruje dla mnie jakiś staż. I gdy po kilku latach zapukałem do niego, rzeczywiście wyczarował. Byłem wtedy na trzecim roku.

Dostrzegłem w jego oczach błysk. Ognik zaznaczający w katalogu wspomnień te miłe i przyjemne. Był wtedy szczęśliwy. Stał na skraju drogi, której usilnie szukał, i widział przed sobą trakt pełen wielkich możliwości.

– Główna redakcja „Wieści” mieściła się w Iławie – kontynuował. – Ale mieli też oddział w Suszowie. Zasięgiem gazeta obejmowała cały powiat i o dziwo, nieźle się jej wiodło. Po pierwsze, jak wspominałem, z internetem działo się nie najlepiej, po drugie brakowało realnej konkurencji. Prasa regionalna skupiała się głównie na miastach wojewódzkich z jakimiś niewielkimi mutacjami powiatowymi, ale nikt nie zawracał sobie głowy takimi zadupiami jak Suszowo. Sagan wszedł w niszę, bo okazało się, że ludzi interesują lokalne problemy, skandale, afery. Chcą dawać drobne ogłoszenia, mały biznes chętnie się reklamuje, a lokalni notable widzą w tym miejsce autopromocji. Redakcja była niewielka, czteroosobowa, lecz od pierwszego dnia traktowałem ją jak świątynię. Suszowem dowodziła Anna Gabrys. Krystian rezydował głównie w Iławie, choć często do nas wpadał. To były fajne czasy. Biegałem po mieście i okolicach w poszukiwaniu tematów. Śmieci w lesie, dziury w drodze, lokalne wydarzenia kulturalne, komuś ukradli rower lub włamali się do piwnicy. Takie kawałki. Po stażu wzięli mnie na stałe. Pracowałem za grosze na umowę zlecenie, ale nie narzekałem, bo zarabiałem, działając z ojcem, a na roku byłem jedyną osobą, która jeszcze przed dyplomem pracowała w zawodzie. Potem zachorował Marian Rysa i przejąłem po nim kącik kryminalny. Na miarę możliwości Suszowa, oczywiście. Złapałem niezły kontakt z tutejszą komendą, wrzucali mi ciekawostki z interwencji, a ja, jak była okazja, to eksponowałem komendanta, prezentując jego wypowiedzi w różnych okolicznościach. Podobnie było ze strażą pożarną. Wszystkim to pasowało.

– Opowiedz o ośrodku. – Zawada postanowił utemperować uaktywniony przez Żurawia tryb gawędziarski. Mój przyjaciel ponad wszystko uwielbiał zwięzłość przekazu. – Jak to wypłynęło?

Prezentowany przed chwilą entuzjazm pierzchnął. Szymon zrobił pauzę.

– W marcu dwutysięcznego drugiego roku z ośrodka uciekł chłopak – kontynuował. – Prawdopodobnie nikt by się o tym nie dowiedział, bo złapano go już po jednym dniu, niemal skostniałego, w prowizorycznym szałasie w lesie jakieś pięć kilometrów za Suszowem. Ale wypłynęły zeznania. Nazywał się Adam Narew i miał szesnaście lat. Szefem posterunku policji w Suszowie był wtedy Karol Łysek, z którym, jak wspominałem, miałem dobre relacje, nie na tyle jednak, by to ze mną podzielił się rewelacjami chłopaka o życiu w ośrodku. O wiele lepsze stosunki łączyły go z Krystianem Saganem. Łysek był zastępcą komendanta, gdy Sagan rozkręcał swój medialny interes i chcąc nie chcąc często się kontaktowali. Szymon twierdził, że komendant to porządny facet. Po ucieczce dzieciaka przestraszony Miotke, który dyktował wtedy ośrodkowi, uruchomił wszystkie swoje znajomości. Ponoć szykowało się oblawa niczym na Bin Ladena.

Tymczasem znalazł go patrol lokalnej policji zaalarmowany unoszącym się nad lasem dymem z ogniska. Gdy Adam zaczął opowiadać o ośrodku, Łysek zdębiał. Jednocześnie pokapował się, że coś jest nie tak, bo zaraz po zgłoszeniu odnalezienia chłopaka zaczęli wydzwaniać do nich wszyscy święci z komendy powiatowej. Kazali zostawić dzieciaka w spokoju, nie przesłuchiwać, tylko czekać, aż odbiorą go policjanci z powiatu, bo to oni będą prowadzić tę sprawę. I tak się stało, tyle że wcześniej Łysek sobie sam na sam z Adamem porozmawiał. A ten sypał opowieściami niczym z horroru. Mówił o karach cielesnych, karczerach, nadzorcach wyłonionych spośród wychowanków przez dyrektora, którzy pod przykrywką utrzymania porządku siali terror. Ponoć dochodziło również do molestowania seksualnego, a nawet gwałtów. Chłopak twierdził, że jacyś uczniowie przypłacili to życiem. Z jednej strony makabryczne, z drugiej nieprawdopodobne. Gdy policjanci z powiatu zabrali uciekiniera, Łysek po tygodniu bicia się z myślami zadzwonił do Sagana i umówił się z nim na spotkanie. Na drugie wstrząśnięty Krystian poszedł już ze mną, bo chciał, byśmy razem rozebrali ten temat. Wiecie, co to dla mnie znaczyło? Prawdziwa afera kryminalna, jak z thrillerów. Sagan wiele razy mówił, że dobrze piszę i mam potencjał. Chyba czuł, że sam tego nie uciągnie, a nie miał nikogo innego o równym swojemu usposobieniu upierdliwego szperacza. Spotkaliśmy się z Łyskiem poza komendą i powtórzył nam to, co jemu mówił chłopak. Oczywiście incognito. Żadnych nazwisk ani wypowiedzi. Męczyło go to. Po zabraniu chłopca do komendy w Ławie dwukrotnie dzwoniono do niego, by dopytać, czy na pewno dzieciak nie składał żadnych zeznań. Gdy z kolei on próbował uzyskać informację o losach Adama, usłyszał, że młody ma problemy psychiczne i przed ucieczką przedawkował leki. Łysek był na tyle twardo stąpającym po ziemi facetem, by odróżnić przerażonego nieletniego od odurzonego lekami.

– Czy w jakiejś formie to spisał lub zarejestrował zeznanie chłopaka? – spytał Karol.

– Nie. Więc nie było jak tego potwierdzić ani zweryfikować. Komendant oczyścił nieco sumienie, zrzucając na nas temat ośrodka. A ten był jak twierdza. Sagan próbował umówić się z Miotką na ogólny wywiad, bo ośrodek w okolicy był kontrowersją jeszcze przed powstaniem, spotkał się jednak z odmową. Dyrektor zasłaniał się dobrem podopiecznych, którzy potrzebują spokoju. Nie mieliśmy nic.

– Ale tekst powstał?

– Tak, bo Adam Narew wysłał z Suszowa list do matki. Prawdopodobnie był to główny cel tej ucieczki, ponieważ w ośrodku pocztę cenzurowano. Jeszcze zanim sprawa listu wypłynęła, sami wpadliśmy na pomysł kontaktu z rodzicami chłopaka. Na szczęście podał do nich namiary Łyskowski. Błagał, by go stamtąd zabrali. Rodzice mieli małe gospodarstwo we wsi Karoliki, jakieś dwadzieścia kilometrów od Radomia. Jak do nich przyjechaliśmy, byli już po lekturze listu i wywarł on na nich ogromne wrażenie. Nie wiedzieli, co robić. Z Adamem mieli same problemy od połowy

podstawówki. Wagarował, brał udział w bójkach, potem doszedł alkohol. Cudem wcisnęli go do zawodówki, ale pobił innego ucznia tak, że tamten wyładował w szpitalu i sąd skierował go do ośrodka szkolno-wychowawczego.

– Pokazali wam list?

– Tak. Był niezgrabnie napisany, ale wstrząsający. Widać było, że Adam Narew chce przekazać w nim wiele informacji, nie posiada jednak na tyle umiejętności, by to skleić w strawną całość. Wyglądało to bardzo chaotycznie. Niemniej powtarzało się to, co mówił komendantowi. Plus błaganie o wyciągnięcie go z tego bagna. Jego rodzice byli w takim szoku, że nasze pojawienie się uznali za zrządzenie losu. Przyjęli, że skoro prasa się tym interesuje, to wszystko będzie załatwione. Jakby artykuł mógł być oskarżycielem i sędzią w jednym. W każdym razie uzyskaliśmy od nich zgodę na opublikowanie listu. Łysek nie zgodził się na wypowiedź pod nazwiskiem, ale obiecał, że jeśli sprawa trafi do sądu, zezna to, co nam powiedział. Mogliśmy więc oprzeć się o anonimowego informatora. Policja w Łławie nie chciała udzielać żadnych informacji, podobnie dyrekcja ośrodka. Dopiero gdy przesłaliśmy im pytania, oparte o zarzuty chłopaka zawarte w liście, zaczęły się dziwne ruchy. Dwóch dużych reklamodawców zagroziło nagle Krystianowi wycofaniem się ze współpracy, jeśli opublikuje tekst. Twierdzili, że nie chcą brać udziału w nagonce na dzieci i tym podobne bzdury.

– Sprawka Miotke? – spytałem.

– Najprawdopodobniej.

– A nie baliście się o chłopaka? Przecież mogli się na nim mścić w ośrodku.

– Tak, wiem. To była rozterka, ale doszliśmy do wniosku, że swoją ucieczką, listem i błaganem o pomoc udowodnił desperację. Uznaliśmy, że publikacja może go uratować, bo inaczej rzeczywiście będą się na nim mścić, ale w ciszy. Przed wydaniem gazety z artykułem objawiło się też kilku lokalnych posłów z naciskami mającymi wstrzymać publikację. Jedni straszili, inni obiecywali złote góry w zamian za odpuszczenie. Sagan nie pękł i polecił mi napisanie artykułu. Sam dodał do niego kilka zdań i naniósł parę poprawek, i poszło pod naszymi nazwiskami na pierwszej stronie „Wieści”. Pękałem z dumy.

– Szukałem w internecie. Nigdzie go nie ma.

Karol już wcześniej uznał to za dziwne. Z sieci rzadko coś znika bez śladu.

– Bo go nie ma – odparł Żuraw. – Wymazano jego istnienie. Nie wiem, jak to zrobili. Ktoś mocno nad tym popracował.

– Ale co było zaraz po publikacji? – Chciałem, by opowieść płynęła chronologicznie.

– Zrobił się hałas, choć liczyłem na burzę. – Żuraw z trudem opanowywał emocje. Te wspomnienia go zjadały. – Ktokolwiek był po drugiej stronie, a jestem pewien, że już wtedy Miotke dysponował dużymi wpływami, bardzo dobrze to rozegrał. Artykuł co prawda rezonował i odzywały

się do nas ogólnopolskie redakcje. Wystąpiliśmy z Krystianem w kilku programach, ale już wtedy czuliśmy, że sprawa jest hamowana. Jakby się jej bano. Niby informacje szły, ale gdzieś w środku serwisów. Niby je komentowano, ale do czołówek było nam daleko. Wściekałem się, bo chodziło o krzywdzenie dzieci w państwowej placówce wychowawczej. Dość szybko rozpoczął się kontratak i muszę przyznać, że był bardzo dobrze zorganizowany i przeprowadzony. Najpierw Miotke wydał oświadczenie, w którym napisał o nieprawdziwych zarzutach, o informacjach uzyskanych od niezwyfikowanych osób i od skazanego nieletniego, który od miesięcy borykał się z kryzysem psychicznym i podlegał leczeniu. A my go wykorzystaliśmy. Potem potępił nas publicznie psychiatra rzekomo leczący Adama. Jego zdaniem wykorzystaliśmy jego pacjenta do uzyskania taniego poklasku. Dzień później Miotke odezwał się ponownie i w opublikowanym w „Rzeczpospolitej” wywiadzie, bo z nami nie rozmawiał, uznając za amatorów, wezwał ministerstwo do przeprowadzenia natychmiastowej kontroli. Ponoć nie miał nic do ukrycia. Kontrola spłynęła z nieba po kilkunastu godzinach i dwa dni później ogłosiła brak jakichkolwiek nieprawidłowości. Wtedy w różnych tytułach zaczęły się pojawiać teksty o mnie. Chodziło o to, że żaden ze mnie dziennikarz, że dopiero studiuję, a tak naprawdę jestem elektrykiem. I to był właściwie koniec. Sagan użył swoich znajomości w mediach, by dowiedzieć się, że rodzice Adama Narwi są gotowi wyznać publicznie, że żadnego listu od syna nie było, a my przyjechaliśmy i wmawialiśmy im Bóg wie co. Podobno obiecano im szybsze wyjście Adama z ośrodka. Krystian po piśmie od prawników Miotke musiał opublikować upokarzające sprostowanie. Inaczej w sądzie nie mielibyśmy szans. Nawet zeznanie Łyska by nam nie pomogło, bo z Adama dość skutecznie zrobiono psychicznie chorego. Temat zdechł po kilku dniach. Krystian był załamany, bo przez ten czas stracił renomę i największych reklamodawców. Nie mieliśmy pojęcia, jaka potęga kryje się po drugiej stronie.

– Masz ten tekst? – Ciekawość Karola była oczywista.

– Tak – odpowiedział Żuraw.

– Chciałbym go przeczytać.

– Jasne. Spotkajmy się jutro. Tu i tak już za długo siedzimy, kelnerka dziwnie na nas zerka.

Przyjedźcie na siedemnastą pod dworzec kolejowy w Iławie.

Zawada bez wahania potwierdził przybycie.

– Masz coś jeszcze oprócz gazety? Może list chłopaka?

– Nie. – W głosie Żurawia czuć było zawód. – Krystian miał list. Nie wiem, co się z nim stało.

– Utrzymujecie kontakty? – wtrąciłem pytanie. – Jak to się właściwie skończyło?

Szymon uśmiechnął się krzywo. Wszystko w tym było oprócz zadowolenia.

– Nie utrzymujemy kontaktów od lat – odparł. – Sagan pracuje dla Miotke. Prowadzi dla niego w mediach propagandę sukcesu.

– Ułożyli się? Jak? – Zawada był wyraźnie zaskoczony.

– Nie wiem. Ale podejrzewam. Jutro wam pokażę. Noszę ten garb od lat i naprawdę cieszę się, że ktoś go ze mnie zdejmie. Ostrzegam was, że to niszczące brzemie. Mnie niemal dobiło.

– Co?

Żuraw się zawahał.

– Opowieść z za grobu – rzekł. – O piekle na ziemi.

Rozdział 4

Do hotelu wróciliśmy po dwudziestej pierwszej. Wcześniej odbyliśmy spacer po urokliwym suszowskim rynku. Była to perełka, która musiała zrobić wrażenie na każdym odwiedzającym miasteczko. W tym przypadku autoreklama na stronie internetowej urzędu gminy nie była przesadą.

Choć rozprowadzany powiewami wiatru styczniowy mróz nie nastrajał do wieczornych przechadzek, dostrzeżliśmy w centrum miasta przynajmniej kilkanaście spacerujących osób. Stylowe latarnie odbijały światło od chodników wyłożonych jasną kostką brukową, a wyrastający ponad ozdobne drzewka kameralny pomnik Jana Pawła II, w odróżnieniu od setek innych rozsianych po całej Polsce, akcentował kunszt artystyczny twórcy. Papież wskazywał palcem niebo, jakby przekonywał, że to, czy po śmierci trafimy do raju, zależy wyłącznie od nas. W środkowej części rynku mieścił się skwerek z drewnianymi ławkami, brukowanymi alejkami i kilkoma małymi fontannami. Latem, gdy tryskała z nich woda, a trawniki i kwietniki eksplodowały kolorami, miejsce to musiało wyglądać magicznie. Już wtedy, gdy to oglądaliśmy w lekko zaśnieżonym anturazie, przypominało licencyjną pocztówkę Disneya. Sieć dwukondygnacyjnych kamieniczek oplatających rynek została pięknie odrestaurowana, a fasady dyskretnie oświetlone. Nieuświadomiony turysta mógłby odnieść wrażenie obcowania z przynajmniej tysiącletnim miastem, po którym przechadzają się duchy historii równie doświadczone, jak te w Gdańsku, Krakowie czy Sandomierzu.

Owo fałszywe przeświadczenie rozwiewały informacje odnalezione na temat tej miejscowości w internecie. W rzeczywistości Suszowo było osadą rolniczą, która przez stulecia przechodziła z rąk do rąk, głównie z pruskich do korony polskiej. Prawa miejskie otrzymało w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. U schyłku ery Gierka został zagospodarowany i praktycznie wybudowany od zera rynek. Jak peerelowską architekturę udało się przemienić na barokową wizytówkę, pozostawało tajemnicą miejskich architektów.

– Miotke dostaje z centrali ogromne pieniądze. – Szymon Żuraw tłumaczył nam meandry funkcjonowania Suszowa jeszcze ubiegłego dnia, na krótko przed rozstaniem na parkingu Karczmy u Zielarzy. – Świetnie to sobie ułożył. Przykleił się do rządzącej prawicy i obłaskawia ich możliwością wykonywania różnych intratnych interesów w okolicy. Lokalni posłowie upychają swoich najbliższych w gminnych spółkach albo wskazane przez nich firmy dostają zlecenia. Remonty, budowy, rewitalizacje. Wszystko. Suszowo jest beneficjentem największych rządowych programów. Ciągnie na kulturę, ekologię, edukację, sport, budowę dróg lokalnych i tym podobne. Nie zdarzyło się jeszcze, by jakiś wniosek stąd został odrzucony. A później zlecenia z tej kasy wykonują ustawieni ludzie. Tutejsze konkursy to mistrzostwo hipokryzji. Osiedle, na którym pracuję, buduje żona wiceministra zdrowia. Rewitalizację rynku robiły trzy firmy, wszystkie związane

z lokalnymi działaczami partii rządzącej. Nie wspominam już o stadionie miejskim wybudowanym dla KP Suszowo, bo w tym przypadku syf się zrobił nawet w lokalnych strukturach, gdy się działacze pokłócili o zlecenia. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze środki z Unii. Dzięki temu Miotke uchodzi za doskonałego gospodarza i jest uwielbiany.

– Ale on ma chyba lewicowy rodowód? – Pamiętałem, co o burmistrzu mówił detektyw Szostaka. Za komuny Miotke miał pracować w kuratorium w Ławie.

– Oczywiście – przyznał Żuraw. – Ale pomimo gromkich zapewnień medialnych, gdy można zrobić dobry interes, legitymacja PZPR nie śmierdzi. Miotke zresztą dzięki dawnym czerwonym towarzyszom, którzy po osiemdziesiątym dziewiątym wskoczyli w buty demokratycznej lewicy, dostał posadę dyrektora ośrodka. I pomimo zmiany frontu ideowego nie zapomniał o nich, bo wielu pracuje w gminie i powiecie. Zależy od niego tylu ludzi, że każdy, kto ośmieli się podważyć ten układ, jest natychmiast neutralizowany. Wybory samorządowe w Suszowie to fasada. On rządzi miastem, a jego komitet radą gminy. Kontroluje wszystko.

x

Wioski po rozmowie z Szymonem nie ułatwiały nam planów. Liczyliśmy na wyrwę w murze, przez którą uda się go skruszyć. Kolejne przedpołudnie Zawada zamierzał poświęcić na wizytę w urzędzie gminy, by pod przykrywką petenta zainteresowanego zakupem działki pozyskać jakieś informacje. Inwestor zwykle zapoznaje się z planami zabudowy, wymogami dotyczącymi pozwoleń i tak dalej. Przy okazji chciał użyć uroku osobistego i pociągnąć parę osób za język.

– Zobaczmy, może znajdę słaby punkt.

Ja planowałem konfrontację z przeszłością Romana. Albin Czort był po Żurawiu drugą osobą na liście ważnych kontaktów. W odróżnieniu od byłego dziennikarza dawny kolega Romana z pracy nie miał pojęcia o naszych planach. Zdecydowaliśmy, że ja to załatwię. Rozmowa „dziennikarz z dziennikarzem” wypadła nieźle, liczyłem na podobny efekt w wydaniu „nauczyciel z nauczycielem”.

Znalazłem go bez problemu; pracował w tej samej szkole, co przed dwudziestu pięciu laty. Był nawet wicedyrektorem. W czasach gdy zrobiono zdjęcie z wycieczki, mieściło się tam gimnazjum. Po kolejnej, cyklicznej reformie wywalającej system edukacji do góry nogami w to miejsce powróciła podstawówka. Zdjęcie Albina Czorta widniało na stronie internetowej placówki. Czas zrobił swoje, mężczyzna był nieco pulchniejszy, wyłysiał i nosił okulary w okrągłych oprawkach, jednak z pewnością był to ten sam człowiek, z którym Roman Zagajewicz jako opiekun udał się w dwa tysiące pierwszym roku na wycieczkę szkolną do Malborka, a zdjęcie z tego wydarzenia zachował

w pudełku upchniętym w piwnicznej szafie. Czort miał charakterystyczne, krzaczaste brwi i nieco odstające uszy. Mogłem sobie wyobrazić, ile przedziwnych przezwisk w związku z tym mu nadano.

Pod dawną szkołę Romana podjechaliśmy o dziewiątej. Karol zostawił mnie tam i wrócił do Suszowa. Na szczęście województwo warmińsko-mazurskie rozpoczynało ferie zimowe tydzień po pomorskim, co dawało szansę na złapanie wicedyrektora w placówce. Szkoła Podstawowa numer 6 w Iławie stanowiła architektoniczny kanon inżynierii czasów PRL. Trzykondygnacyjny kloc z kilkoma rozgałęzieniami, otoczony pomalowanym na zielono płotem. Za to teren wokół był schludnie zagospodarowany, a sama szkoła przeszła niedawno widoczny remont. Fasada, co ryzykowne, była jasna, a niepokornych miłośników prac plastycznych na świeżym powietrzu od uskuteczniania anonimowych wernisaży na murach odstraszać miały informacje o całodobowym monitoringu.

Odczekałem do dzwonka na przerwę. Gdy wybrzmiał, ruszyłem do wejścia. W sekretariacie spytałem o Albina Czorta, a wyglądająca na niespełna trzydziestkę dziewczyna o krótkiej, białej fryzurze skierowała mnie na pierwsze piętro do gabinetu wicedyrektora. Zdziwiłem się, bo nikt nie spytał mnie, kim jestem i z jaką sprawą przychodzę. Gdy tam dotarłem, pokój był zamknięty. Dzieciaki, jak to na przerwie, wywołały rejwach niczym trutnie w ulu. Mężczyzna, na którego czekałem, uczył historii. Istniała możliwość, że nie wróci do gabinetu na przerwę, a zostanie w klasie, gdzie poczeka na następną lekcję. Ale przyszedł. Nieco zgarbiony, ubrany w dżinsy i marynarkę. Wyglądało, jakby coś analizował, bo oczy miał wbite w podłogę, a uczniowie pierzchali mu z drogi niczym polne zające przed kombajnem. Uniósł wzrok dopiero wtedy, gdy zbliżył się do gabinetu.

– Pan do mnie? – spytał.

– Tak.

Czort przekręcił w zamku klucz, otworzył drzwi i puścił mnie przodem.

– Proszę.

Najwyraźniej z rozpędu wziął mnie za rodzica. Niejeden przychodził przed feriami wylewać żale i przekonywać o zaletach swego dziecka skrzywdzonego oceną na półrocze. Taki los wicedyrektorów.

– Nazywam się Sylwester Cichy – powiedziałem, gdy zająłem miejsce dla gości. Gospodarz usiadł za swoim biurkiem. – Jestem przyjacielem Romana Zagajewicza. Razem pracujemy. Wiem, że kolegował się pan z nim, gdy uczył w tej szkole.

Albin Czort był poruszony. Znudzenie w sekundę uleciało. Skupił na mnie wzrok, ale się nie odezwał.

– Szukałem kogoś, z kim utrzymywał dobry kontakt, mieszkając w Iławie, i natrafiłem na pana. Stąd moja wizyta. Możemy o tym porozmawiać?

– Dlaczego interesuje pana Roman Zagajewicz? – Głos męczyzny był niski i szorstki. Wyobrażałem sobie, jak skutecznie smaga nim rozbrykanych uczniów. Niemniej po wyrazie twarzy, spięciu i nieufnym spojrzeniu wnioskowałem, że jest obeznany w sytuacji swego dawnego kompana.

– Wie pan, że siedzi w areszcie, prawda?

Nauczyciel przyznał to dopiero po paru chwilach.

– Oczywiście, widziałem w telewizji wywiad z Mirką. Ale o co chodzi?

– Jak wspominałem, przyjaźnię się z Zagajewiczami. Uczymy z Romanem w tej samej szkole języka polskiego.

– W tej... szkole? – wtrącił Czort, akcentując pierwszą sylabę pytania.

– Zgadza się, w tej. Możemy o tym pogadać, jeśli to pana interesuje, ale wolałbym zacząć od Romana.

– Niech pan powtórzy swoje nazwisko.

Spełniłem jego prośbę i odczekałem kilka minut, by przezorny wicedyrektor mógł odnaleźć moją fotkę na stronie szkoły. Gdy tego dokonał, wydawał się uspokojony. Wykorzystując ten moment, wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki zdjęcie i podałem mu je. Czort studiował fotografię z rozrzewnieniem.

– Malbork... – Uśmiechnął się. – Pamiętam to.

– Dzięki temu zdjęciu do pana dotarłem. – Postanowiłem zagrać z Czortem w otwarte karty. Wydawał się konkretny, przypominał mi Raucha. – Grzebię w przeszłości Romana, bo nie potrafię zrozumieć tego, co się wydarzyło, a z jakichś powodów nie mówił wiele o pracy w Iławie. Może ma to jakiś związek z jego sprawą, a może nie. Potrzebuję pana pomocy, by to rozstrzygnąć.

– Nie mogłem uwierzyć w informacje dotyczące Romana – przyznał nauczyciel. – Ale nasze drogi się rozeszły wiele lat temu, a ludzie się zmieniają.

– Długo razem pracowaliście?

Pobieżna analiza zajęła mu kilka sekund.

– Około dziesięciu lat.

– I jaki wtedy był?

Czort wzruszył ramionami.

– Normalny. Z poczuciem humoru, koleżeński. Pomagaliśmy sobie, pożyczaliśmy pieniądze, jak komuś nie starczyło do pierwszego. A zwykle tak było. Ja i moja była żona często ich odwiedzaliśmy. Lubiła Mirkę.

– Pomimo wszystko zrezygnował z posady, by zatrudnić się w ośrodku wychowawczym w Suszowie. Wie pan dlaczego?

– Oczywiście, to nie tajemnica. Mirka zaszła w ciążę i potrzebowali pieniędzy. Bardzo pragnęli dziecka, a w ośrodku dobrze płacili. Nie dość, że zasadnicza pensja była wyższa, to jeszcze oferowali duże premie. Roman uznał to za okazję. Ośrodek potrzebował obsady na już i dawał dobre warunki. Mówiło się, że ma zapewnione porządne finansowanie.

– Mirka była w dwa tysiące drugim w ciąży? – nie zdołałem ukryć zdziwienia.

– Tak, ale poroniła. Strasznie to przeżyli.

Czułem, jak ze ściany niewiedzy odpadają płaty tynku.

– Pracował już wtedy w ośrodku?

– Tak, ale niedługo. Poroniła miesiąc albo dwa po tym, jak od nas odszedł.

– I utrzymywaliście wtedy kontakt?

– Słaby. Raczej się odcięli. Ale też robota tam była specyficzna.

– Co pan myśli o ośrodku?

Zebranie myśli zajęło Czortowi tyle, co wygłodniałemu wróblowi za oknem spacer wzdłuż parapetu. Ptak, sfrustrowany brakiem jakiegokolwiek pożywienia, uderzył dziobem w blachę i odleciał.

– Nie miał dobrej sławy – usłyszałem. – Jeszcze przed otwarciem ludzie protestowali. Nikt nie chciał w sąsiedztwie młodocianych przestępców. Później pojawiały się plotki i medialne doniesienia o złym traktowaniu wychowanków. Kiedyś spotkałem Romana i zapytałem go o to, ale on twierdził, że dzieciaki wypisują do rodziców głupoty, by zemścić się na wychowawcach za dyscyplinę. Niemniej robota dawała mu w kość. Sporo schudł. Według pana to ma jakieś znaczenie?

– Ukrył te dwa lata pracy – stwierdziłem. – Zarówno przede mną, jak i przed władzami szkoły w Gdyni. Wymazał je ze swojego życiorysu. Zastanawiam się dlaczego. Czy wydarzyło się tam coś, czego nie chciał ujawnić?

– Naprawdę nie mam pojęcia. – Zapewnienia nauczyciela wydawały się szczere. – Jak mówiłem, to luka w naszych kontaktach. Raczej o tym nie rozmawialiśmy.

– A potem, gdy zmienił szkołę, coś się zmieniło?

Albin Czort przez chwilę siedział pogrążony w myślach.

– Zadzwoił, jak był już na wylocie – oznajmił, bujając we wspomnieniach. – Głównie dlatego, by pochwalić się ciążą Mirki. Z jednej strony wydawał się szczęśliwy, z drugiej pełen obaw, bo u niej było coś nie tak z odpornością, a przecież niedawno poroniła.

– Który to był rok?

– Chyba... – Znów przez moment kalkulował, nim wydał werdykt: – Dwa tysiące czwarty.

– I spotkaliście się?

– Tak, ale tylko z Romanem. Wtedy wiadomo już było, że ośrodek zamykają. Zadziałał sanepid albo jakiś inny urząd. Wcześniejszy remont zrobiono po łebkach, zaczęły wychodzić grzyby i wilgoć, wychowankowie chorowali, i wtedy zapadła decyzja o kasacji. Roman miał już nagrany angaż w liceum. Mirka była w domu, odizolowana, bo byle wirus mógł jej zagrozić.

– Całą ciężę przeleżała?

– Tak. Zobaczyliśmy ją i dziecko dopiero kilka miesięcy po porodzie. Wtedy zdrowotnie wychodzili na prostą. Byli szczęśliwi, choć mały non stop łapał jakieś infekcje. Lekarz powiedział, że najlepiej by mu było nad morzem, więc nie zastanawiali się i wyjechali do Trójmiasta. Chłopak miał chyba roczek i był dla nich priorytetem.

– Utrzymywaliście kontakt?

– Na początku, potem coraz rzadszy, aż w końcu się urwał. Dzieli nas co prawda niespełna dwieście kilometrów, ale każdy ma swoje sprawy, swoje życie. Ten ich mały to chyba już wielki chłop?

– Maturzystą – potwierdziłem. – Uczyłem go.

Albin Czort machnął ręką rozbawiony.

– No tak. Przecież to już tyle czasu minęło.

– Pamięta pan dokładnie, kiedy wyjechali?

Czort ponownie rozpoczął kalkulację. Rozparł się w fotelu i wlepił wzrok w sufit.

– Chwileczkę... – cedził powoli. – Roman na pewno dotrwał do końca roku szkolnego w ośrodku, a nowy już rozpoczął w liceum i był tam przez dwa lata, czyli do końca roku szkolnego w dwa tysiące szóstym. Od września rozpoczynał pracę w Gdańsku, czyli wyjechali w wakacje dwa tysiące sześć.

– A gdzie mieszkali w Iławie?

– Na Mickiewicza. Chyba siedemnaście.

– Do końca?

– Tak, udało im się sprzedać mieszkanie krótko przed wyjazdem, jakoś tak na wiosnę. – Albin Czort wyprostował się i wbił we mnie spojrzenie.

– Nie wiem, jak bardziej mógłbym pomóc w rozwikłaniu pana dylematów. Jeśli zapyta mnie pan, czy Roman, którego znałem, byłby zdolny zabić dziecko, odpowiem natychmiast: nie. Ale czy obecny Roman jest tym samym, co tamten, tego nie jestem w stanie potwierdzić. Być może pan zna zupełnie innego człowieka niż ja.

Nie ciągnąłem go dłużej za język. I tak powiedział więcej, niż się spodziewałem. Dzwonek na lekcję wybrzmiał dobrych kilkanaście minut temu. Czort nie zareagował, co oznaczało, iż prawdopodobnie miał okienko w planie.

Do przerwy rozmawialiśmy o Rycerzach Rozumu. Dla ludzi żyjących tak jak on wydarzenia rozgrywające się w szkole Szostaka były ciekawsze od niejednego thrillera.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

